



V S



K.P. 27.03.14

Adam Cebula "Tylko widz go unika"

Fahrenheit Crew

Mam wrażenie, że zasada jest prosta: im bezpieczniej, tym więcej paniki. Jakie było prawdopodobieństwo tego, że osobnik homo sapiens p(ł)ci męskiej dożyje wieku, powiedzmy, lat 64, za czasów mojego tatusia? Oszacowałem to prawdopodobieństwo kiedyś na mniej niż 0,5. Jak się zdaje, nawet wojna nie miała na to wielkiego wpływu. Szacunku dokonałem podczas spaceru po cmentarzu, materiał badawczy był dość porządny, można trochę dyskutować nad sposobami opracowania wyników, ale doprawdy: bezpiecznie wtedy nie było. Jaka była główna przyczyna śmierci? Tak po połowie – dość banalne choroby i wypadki. Choróbska typu zapalenie ślepej kiszki, wypadki typu koń kopnął.

Moi rówieśnicy zabijali się na torach, konie i choroby miały już mniejsze znaczenie, ale jako przyczyna zgonów pojawiło się na przykład sikanie na trakcję elektryczną. Tym niemniej długość życia wyraźnie się wydłużyła. Średnio oczywiście, ale z braku koni i wojen zdecydowanie zrobiło się bezpieczniej.

Zapewne jednak, w porównaniu z moim ojcem, wysłuchałem wiele razy więcej mrożących krew w żyłach opowieści. Głównie na szkoleniach BHP. Ale też, będąc w wojsku, tylko kilka procent czasu poświęciłem na uczenie się, jak strzelać, natomiast ponad 90% czasu uczyłem się, ćwiczyłem intensywnie, jak spier..., by unieść d... w całości. Uczono mnie masażu serca, gaszenia butli z acetylenem, odłączania delikwentów od obwodów elektrycznych, może najmniej czasu dziadek poświęcił na nauczanie tego, co faktycznie pozwoliło mu dożyć swoich już lat: jak obchodzić kobyłę, która zagięła na mnie parol i próbowała skasować.

Wiem, jak zakładać OP1 w razie ataku chemicznego, że do wybuchu jądrowego obracamy się d..., że maskę p-gaz można uratować na siedem czy osiem sposobów, gdy się okular wybije, wąż przedziurawi, uszkodzi zawór, że można się udusić, gdy się nie wyciągnie korka zabezpieczającego, jak gasić urządzenia elektryczne, jak postępować ze wspinaaczem, któremu czekan przebił płuco...

Matko Boska! Żeby tylko to! Niewybuchów nie wrzucamy dla jaj do ogniska, unikamy przypadkowych kontaktów, – tak przeszliśmy wielokrotne i usilne szkolenia, jak zapobiegać rozprzestrzenianiu się chorób wenerycznych. Zacukałem się... AIDS do nich należy? Nie wiem. Natomiast w celu zapobieżenia rozprzestrzenianiu się gruźlicy plujemy do sopluczek. Z gruźlicy nie ma co się śmiać: bestia jest lekoodporna.

Zapewne powinienem wykonać sobie jakieś nagie zdjęcia, abym mógł pilnować, żeby ich nie umieszczać w sieci. Dla uniknięcia cyberzagrożeń. Tu mnie sumienie gryzie: na przykład nie stosuje się do ochrony antywirusowej. Nie chce mi się, bo wirusów pod Linuksa ani duđu.

Zapamiętałem sobie takie zdanie jednego felietonisty z pingwinianych stron: nie boisz się, to cię nie ma. Ot co. Jak świat światem, wypada wernyhorzyć albo kasandrzyć. Kolumbienie, że tam za oceanem czekają bogactwa, działa tylko w okolicznościach odkrycia Ameryki, a poza tym kulturalni ludzie nie lubią happy endów. A nawet tylko, bo to jednak coś innego, szczęśliwych zakończeń.

Już starożytni Grecy odkryli tę regułę: chcesz należeć do elity, powinieneś uważać, że świat upada, a najlepiej zmierza prostą drogą do zagłady. Kiedyś były wieki złote i srebrne, a dziś...

Dziś grozi nam na przykład zagłada z powodu efektu cieplarnianego. Chciałbym zwrócić uwagę na głębokie etyczne przesłanie leżące u źródeł, czyli nadmierny konsumpcjonizm. W domyśle – ruja i

porubstwo. Albo poróbstwo (za „Słownikiem Języka Polskiego” dopuszczalne w grach). Co prawda onanizm jako źródło wszelkich klęsk nie jest ostatnio w modzie, ale generalnie trzeba pościć, umartwiać się, jedząc mało, najlepiej pokarmów roślinnych, spać w zimnym pokoju z rękami na kołdrze.

Czy pamiętasz, Drogi Czytelniku, Dziurę Ozonową? Ciekawe, że jakby spadła z planu... Otóż, jeśli nie pamiętasz, to przypomnę ci, że ludzi, którzy się nią zajęli, media awansowały mniej więcej do poziomu Supermena; ni mniej nie więcej wyszło, że uratowali świat. Ale uratowali i teraz cisza, bo? Chyba wyszło, że jakby mniej, że nie bardzo, tak tylko trochę, troszeczkę. Albowiem pojawiała się nowa dziura. Jedna była od strony Antarktydy, druga się zrobiła w Arktyce. No trza było powiedzieć: Bóg wi(e), czemu... Bo my nie.

Jak mi się zdaje, w świetle danych, badań i obserwacji pełne grobowych tonów kasandrzenie, że wypali nas promieniowanie ultrafioletowe, spotkało się z dostatecznie głośnym i dostatecznie gremialnym pukaniem się w czoło i przestało przynosić spodziewane splendory.

Kasandrzyć trzeba umieć. Trzeba nawiązać do greckich posłów, dobrze by było, żeby była jakaś Helena, Troja do zdobycia, bo jak zaczniemy tak, siedząc w szałasie pastuszym, to możemy usłyszeć: „a komu by się chciało w te pustacie wyprawiać po stadko chudych kóz”?

Coś mi się widzi, że z dziurą ozonową to ani Troi, ani posłów. Za bardzo się rozlazło z rzeczywistością, bo na przykład nie otrzymałem nigdy odpowiedzi na pytanie, czemuż to po zniszczeniu warstwy ozonowej wysoko, nie miałyby się ona utworzyć w troposferze, gdzie tlenu jest kilkadziesiąt razy więcej?

Zapewne kasandrzący zostali zaskoczeni. Nie spodziewali się, że ktoś wie, że ciśnienie powietrza na wysokości kilkudziesięciu kilometrów jest resztkowe, chyba sami nie rozpoznawali wielkości zwanej koncentracją i różniące się od gęstości.

Tak czy owak, obserwujemy taki fakt (medialny?): spadło się dziurze ozonowej z plakatu. Publikacji jak kot napłakał, nie ma już apokaliptycznych wizji.

Kiepsko zaczęło się wieść efektowi cieplarnianemu. Po prostu mniej więcej około roku 2000 załamał się trend ocieplania się klimatu. Warto zwrócić uwagę na aspekt prawdopodobieństwa. Ryzyka. Otóż na przykład w przypadku dziury ozonowej mieliśmy ryzyko, że coś z tym wpływem freonów jest. Diabli wiedzą, jak to odbije się na życiu na Ziemi, ale powiedzmy, wprowadzaliśmy do obiegu substancje chemiczne, których nigdy wcześniej w nim nie było. A przynajmniej tak nam wmawiano. Albowiem tak naprawdę chodziło o chlor, a tego w naszym otoczeniu jak lodu albo i znacznie więcej w różnych związkach chemicznych, często daleko mniej trwałych od freonów. Tym niemniej mogliśmy się obawiać, że owe wraz z freonami narobią czegoś takiego jak pierwsza para królików wypuszczona w Australii.

W przypadku efektu cieplarnianego rozumianego jako zmiany klimatyczne spowodowane wypuszczaniem do środowiska dodatkowego węgla w postaci CO₂ wykopanego z ziemi, pojawia się bardzo wyraźnie silny argument przeciw: to musiało się zdarzyć wiele razy w przeszłości. Mamy geologiczne dowody, że średnia temperatura Ziemi była kiedyś znacznie niższa, że była wyraźnie wyższa, że się podnosiła w szybkim tempie. Otóż, jeśli warunki są jak widać, to są one „utrąsione”. Leżą w pobliżu wartości najbardziej prawdopodobnych.

Analogią może być nóż stojący na ostrzu. Owszem, realny nóż tak postawiony przez chwilę postoi, ale wystarczy byle podmuch wiatru, byle wstrząs, a się wywróci. Z pozycji leżącej już nie da się go wytrącić „bele czym”, puknięciem czy chuchnięciem.

Mało prawdopodobne jest, by działały scenariusze z apokaliptycznych wizji, takie jak lawinowe uwalnianie się metanu z podmorskich złóż połączone z działaniem dodatniego sprzężenia zwrotnego, podnoszeniem wilgotności atmosfery, dalszym ocieplaniem się klimatu, lawinową emisją dwutlenku węgla i metanu z obszarów ocieplającej się tundry, aż do całkowitej zagłady życia.

Dlaczego to mało prawdopodobne? Bo już by się to zdarzyło. Jeśli czarna dziura wersji mikro, taka, jaką można wyhodować w CERN, byłaby w stanie połknąć Ziemię, to Ziemi by nie było. Prawie na pewno, albowiem z kosmosu przylatują cząstki o energiach niewyobrażalnych jak na cząstki - rzędu energii spadającej z dachu cegły.

Niezwykle groźny wirus gorączki krwotocznej nie czyni ludzkości większej, można powiedzieć, zauważalnej krzywdy, bo na skutek gwałtownego przebiegu choroby nie ma szans na rozprzestrzenienie się. Czarna ospa, ze śmiertelnością na poziomie 1/3, rozprzestrzeniła się w swoim czasie na prawie całą populację.

Argument, że zapewne już nie raz zagraliśmy na naszej planecie w ruletkę z dwutlenkiem węgla, nie jest argumentem nie do zbiccia, to zaledwie stwierdzenie, że warto zaryzykować. To uzasadnienie podejrzenia, że rzekomo naukowa i bardzo dobrze udokumentowana teoria ocieplania się klimatu zawiera zasadnicze błędy.

Jak pomyśleć, to nie do pomyślenia jest teoria kompletna czy funkcjonalna w takim sensie, że pozwala nam wyliczyć na przykład z wielkości emisji, albo lepiej, model ocieplenia się klimatu na skutek wałkowanej emisji. Można znaleźć, i owszem, konkretne wartości wymuszenia radiacyjnego na poziomie 0,85 wata na metr kwadratowy. To sprawia wrażenie wartości mocy cieplnej i wydaje się, że tego można wyliczać wzrost temperatury.

Niestety, wiele razy już pisałem: jakieś efekty radiacyjne są do pomyślenia w wysokich warstwach stratosfery. W troposferze absorpcja promieniowania podczerwonego jest w głębokim nasyceniu. Na dodatek mamy wiele mechanizmów przewodnictwa cieplnego. Wpływają nawzajem na siebie, niektóre bardzo silnie. Na przykład zachmurzenie na promieniowanie. Para wodna może być odpowiedzialna za 70-80% transportu ciepła, ale też chmury mogą wyciąć prawie do dna promieniowanie. Do wartości nieistotnych.

Aby stworzyć praktyczny model opisujący jakieś zjawiska na Ziemi, trzeba uwzględnić w nim istotne składowe. Na przykład wyobraźmy sobie - ktoś nam mówi, że 10 km od nas ludzie popchnęli w naszym kierunku wóz z burakami. Rozpędzili go do 5 km/h, za dwie godziny dojedzie i nas przygniecie... Śmieszne? Cóż, poprawne zastosowanie mechaniki Newtona z brakiem tarcia. W kosmosie byłby problem, w ziemskich warunkach rzecz wygląda absurdalnie. Po mojemu podobnie brzmią ostrzeżenia klimatologów.

Te 0,85 wata na metr kwadrat to pi razy drzwi okolice 1 promila stałej słonecznej. Strzelając palcem, można wymyślić mechanizm, który w przypadku podniesienia się temperatury górnych warstw atmosfery przykryje go. Coś się zmieni w drugą stronę? Ależ oczywiście! Jeśli zadziała efekt cieplarniany, to powinna się podnieść temperatura góry atmosfery. A za tym niewątpliwie wzrośnie jej wilgotność. Podejrzewamy podniesienie się średniego pułapu chmur, za tym nawet przy niezmienionej ich średniej powierzchni zmniejsza się droga promieni słonecznych. Zostaną one odbite na większej wysokości i nagrzewanie atmosfery od bezpośredniego promieniowania się zmniejszy.

Spisując dane od klimatologów, mniej więcej 1/5 promieniowania Słońca jest pochłaniana przez atmosferę, ciut więcej niż 1/5 odbijane przez chmury. Pamiętając o zmianach gęstości atmosfery, możemy wyszacować, że zmiana średniej wysokości "powierzchni" chmur widzianej przez Słońce o

jakieś około 100 metrów, czyli o kilka procent, da zamierzony efekt. Możliwe?

Można zadać o wiele banalniejsze pytanie: czy jeśli założymy wzrost wilgotności atmosfery, możemy założyć wzrost średniej powierzchni chmur o kilka promili?

Zmiana rozkładu temperatur w atmosferze i zmiana jej wilgotności to efekt podobny do tego, który można doświadczyć po założeniu plastikowej pelerynki. Najpierw robi się nam trochę cieplej, a potem czujemy, że ubranie wilgotnieje i robi się zimno. Woda, która wyparowała ze skóry, skrapla się na pelerynce i wsiąka w ubranie, ponownie paruje na skórze. Migrująca woda równa się drastyczne zwiększenie transportu ciepła.

Jeśli rozkład temperatur w atmosferze się zmieni, a dokładnie, jeśli bardzo zimne górne warstwy staną się cieplejsze, to na powierzchni Ziemi może być cieplej, albo - znajdziemy równie wiele argumentów - że zimniej. Jeśli rośnie zawartość dwutlenku węgla w atmosferze, to mamy większe przyrosty roślin. To między innymi dlatego już w XIX wieku brzegi lasów obsadzano krzewami, Chodziło o to, by nie wywiewało z nich CO₂, który gromadził się tam w nocy. No więc możemy założyć, że jeśli średnio stężenie dobrze wymieszanego CO₂ wzrosło o 1/3, to zareagowała masa roślinna. Rośliny tworzą kożuch niedopuszczający promieniowania słonecznego do litej powierzchni gleby albo na przykład do głębin zbiorników wodnych.

Nie dowodzę że to czy tamto zjawisko ma taki wkład w klimat, ale że wnioski co do tego, czy CO₂ jest groźny bądź jakoś tam działa, wymagają nieosiągalnej precyzji opisu modelu klimatycznego. Jest niesłychanie mało prawdopodobne, że osiągniemy ją, siedząc jedynie za biurkiem, bez doświadczalnego sprawdzenia.

Trzeba by mieć jakieś doświadczenia w tej materii. Tak, z doświadczenia wiemy, że wóz pchnięty choćby w odległości 20 metrów z powodu tarcia do nas nie dojedzie. Doświadczenie mówi, że ten model zawiera istotne elementy, dzięki którym możemy przewidzieć, czy to ocieplenie, czy zgniecenie.

Ponieważ model globalnego ocieplenia nigdy nie został sprawdzony w praktyce, nie mamy takich doświadczeń, że więcej CO₂ w atmosferze to cieplej, a jak mniej, to zimniej, ponieważ oficjalnie obserwuje się tylko ruch w jedną stronę, rośnie stężenie CO₂ i temperatury (już trochę mniej zdecydowanie z tą temperaturą), istnieje więc poważne ryzyko graniczące z pewnością, że ów - powiedzmy sobie - dosyć naiwny opis, nieuwzględniający zjawisk zasadniczych dla wymaganej dokładności, jest fałszywy.

Zieloni próbują przekonać nas, że walcząc z globalnym ociepleniem, walczymy o życie. Co w istocie ryzykują Polacy? Jeśli się przyjrzeć prognozom, to praktycznie... nic. Owszem, możemy stracić Hel, ale zyskać winnice i brzoskwinie, znaczne obniżenie rachunków za ogrzewanie. Gdyby sprawy szły zgodnie ze scenariuszami IPCC.

Owszem, w stopniu graniczącym z pewnością ryzykujemy, że przerzniemy gospodarczo, walcząc usilnie z efektem cieplarnianym. Szereg państw nie ma zamiaru się nim przejmować, a taka Kanada stwierdziła, że nie ma sensu ciągnąć dalej i wypisała się z przestrzegania protokołu z Kioto. Skalkulowane ryzyko, na ile oberwiemy od zmian klimatycznych, na ile od swoich sąsiadów, wskazuje, że bardzo, bardzo opłaca się zaryzykować ołanie Globalnego Ocieplenia.

Niestety, zieloni będą biadać, że czeka nas zagłada, albowiem oni chcieliby mieć pewność, że przyszłość jest świetlana. A przynajmniej na to wygląda. Niestety, zieloni odrzucają jakiegokolwiek ryzyko.

Na podobnej zasadzie zwalczą się energią atomową. Bo może dupnąć, a wtedy Czarnobyl. A

Czarnobyl, kilka razy pisałem, na dobrą sprawę jest dowodem na to, że największa katastrofa atomowa niczym nie grozi. Skutki to dwie śmiertelne ofiary samej awarii, i od trzydziestu do stu kilkudziesięciu – akcji ratowniczej. Przy czym organizacje międzynarodowe "zaliczyły" około trzydzieści zgonów. Czasami podaje się w zielonych publikacjach setki tysięcy, ale i fachowcy mówią zgodnie, że to fantazje, i dane pomiarowe na to wskazują.

Fukushima to ponoć czterech potłuczonych, których po udzieleniu pomocy, zwolniono do domu.

W obu chyba największych katastrofach jądrowych największe i praktycznie jedyne szkody są wynikiem panicznej akcji ratunkowej. Gdyby nie robiono nic, nie było by ani strat materialnych, ani zgonów podczas ewakuacji, ani strat mienia.

Fukushima pokazuje też, jak bezpieczne są współczesne zakłady jądrowe. Potrzeba gigantycznego trzęsienia ziemi, aby coś się stało. Gdybyśmy policzyli, ile osób podczas tego kataklizmu straciło mienie, zdrowie i życie, już to z powodu wybuchów gazu, już z powodu pożarów samochodów czy wywołanych zwarciami, to wyjdzie na to, że najpierw trzeba by zlikwidować te wszystkie śmiercionośne technologie, a potem dopiero ewentualnie zabierać się za zakłady chemiczne, potem za kopalnie, potem długo nic i dopiero po tym „długo nic” – ewentualnie elektrownie jądrowe.

Fatalnych skutków GMO nie widać. Owszem, jedyne efekty są medialne: awantury protesty, poza tym nic. W moim odczuciu wojna z GMO to histeria podobna do wojny ze wszystkim, co „chemiczne”. To jest całkowity odjazd od nauki. Bo tak jak wszystko wokół nas jest chemiczne, nieszczęsna sól kuchenna zawiera chlor, który jest bezpośrednio odpowiedzialny za dziurę w ozonie, przez którą w pewnym filmie pozującym na zaangażowany spadały kawałki jonosfery, tak praktycznie cała przyroda jest jedną i nieustanną modyfikacją genetyczną. Tyle że zupełnie niekontrolowaną.

To jakieś szaleństwo, że za bezpieczniejsze uważa się odmiany uzyskiwane „klasycznymi” metodami, czyli bombardowaniem roślin promieniowaniem jonizującym stosowanym w takich dawkach, że powoduje zamieranie prawie wszystkich organizmów. Uważa się, że GMO mogą „dostać się do ekosystemu”, zmutować niespodziewanie – w tryfidy zapewne – że po latach się okaże Bóg wie co. A jednocześnie jakoś mało kogo albo wręcz nikogo nie rusza, że praktycznie całe żarcie zostało wyprodukowane w wyniku znacznie bardziej barbarzyńskich metod. Co się robi i co siedzi w DNA, to trudno powiedzieć nawet w przypadku banalnego krzyżowania odmian. Bo mamy bardzo zielone pojęcie na temat działania białek szkieletowych i zwykła zmiana kształtu pojemnika na informację genetyczną może doprowadzić do uruchomienia genów, jakie wcześniej były zablokowane. W przypadku GMO mamy nikłe ryzyko, że wylezie coś niekontrolowanego, bo wiemy, co zmieniamy, wiemy dość dobrze, co siedzi w innych częściach łańcucha, wreszcie – kontrolujemy efekt.

Czy jest jakieś prawdopodobieństwo, że zrobi nam się tryfid? Owszem, jest, ale pomijalnie małe. Mniej więcej takie jak to, że na skutek działalności LHC w CERN dojdzie do zniknięcia Ziemi.

Czy wydobywanie gazu łupkowego czymś nam grozi? Z pewnością, ale... nie wiemy czym. Tak, gaz łupkowy wymaga innej technologii niż klasyczne złoża, tak, przy jego wydobyciu wtłacza się w złoża pod wielkim ciśnieniem wodę, i nawet może dojść do tego, że substancje użyte do szczelinowania dostaną się do tego czy owego, nawet to lub owo może być studnią czy wodociągiem. Sęk w tym, że prawdopodobieństwo podobnego wypadku jest tak małe, że potencjalne zyski nie pozwalają nawet chwili się zastanawiać. Tak, może się zdarzyć, że ktoś będzie oszukiwał, że inny okaże się osłem i sknoci bezpieczną procedurę. Tak, ale jeśli nie zaryzykujemy, to zostaniemy w tyle za resztą świata.

„Nie ma nic bez ryzyka, tylko widz go unika”, napisał mistrz Jeremi Przybora. Cóż, domyślam się, że to nie niechęć do ryzyka popycha ludzi do protestowania przeciw elektrowniom atomowym. To raczej pieniactwo, jakiś atawistyczny instynkt obrony terytorium. Nadmiar wolnego czasu raczej, niż miłość

do przyrody. Na co dzień ryzykujemy własną głową choćby wsiadając do samochodu.

Niestety, skutek jest taki, jakbyśmy się stali społeczeństwem asekurantów, tchórzy, niezdolnych do samodzielnego życia neurotyków. Sukces Europy wziął się w wielkiej części z zuchwałości jej mieszkańców. Kolumbili jak Krzysztof Kolumb, wyprawiając się w nieznaną z szaleńczą niemal odwagą. Ryzykowali nie tylko wdając się w awantury jak Cortés, ale budując latające maszyny jak Otto Lilienthal. Jeszcze niedawno ryzykowaliśmy, latając w kosmos. Ameryka Północna to krąg kultury europejskiej.

Nie mam zamiaru tu roztrząsać, dlaczego tak się działo, ważne, by sobie uzmysłwić: kiedy zabrakło Rzymianom ochoty do bijatyk, imperium wzięli diabli. W istocie historia uczy jednego: człowiek może ulec nie, nie kataklizmom, ale tylko drugiemu człowiekowi.

Muszę dodać o co NIE chodzi. Cortés wedle norm etycznych to rzezimieszek. Moim zdaniem ma tylko jedną cechę godną uwagi – przekonanie, że ten zamorski świat podda się jego rozumowi. Zieloni funkcjonalnie wpajają nam zasadę tabu: ma być jak do tej pory. Funkcjonuje to właśnie tak, choć filozofia jest inna: jakakolwiek zmiana sprowadzi na nas klęskę. Otóż od zarania dziejów mieliśmy zaborczość, przekonanie o tym, że Kali komuś ukraść krowy to dobrze, że nasze obyczaje są obyczajniejsze. Ale to stosunek do drugiego człowieka. Europejczycy – moim zdaniem – byli w tym przeciętnie podli, jak cała reszta. Myślę, że jedno ich wyróżniało: zdolność do przełamania tabu w stosunku do szeroko pojętego świata. Do tej pory produkowaliśmy energię z węgla, będziemy produkować z atomu. Jeśli czegoś nie rozumiemy, to nie zakładamy za tym istnienia demonów, ale staramy się to poznać. Neurotyczne doszukiwanie się zagrożeń – na przykład w GMO, w wydobywaniu gazu łupkowego – faktycznie skreśla możliwość poznania. Świat musi pozostać, jakim był. Cortés nie może wypłynąć z Europy, Jean-François Pilâtre de Rozier nie może wsiąść do gondoli balonu, nie można budować kolei żelaznych, bo krowy mleko tracą. Nie chodzi o ekspansywność, poczucie wyższości wobec sąsiadów, tym bardziej wojowniczość czy patriotyzmy leżące o krok od nacjonalizmów. W ogóle o uczucia w stosunku do ludzi. O to NIE chodzi. To coś, co jest przedmiotem mojej troski, można nazwać pewną bezczelnością w stosunku do natury, świata; przekonanie, że w końcu da się go nieco nagiąć do swych potrzeb. O to, że potrafimy zaryzykować wiarę w zrozumienie go.

Bez dobrze wyważonego ryzyka zwyczajnie przegramy w konkurencji z innymi nacjami. Cóż, możemy się uprzeć i zablokować wszystkie atomówki, ale koniec może być taki, że w tiwi zobaczymy premiera o niepokojących rysach, który łamaną polszczyzną ogłosi budowę superatomówki i sadzenie superryżu, a jakby kto miał coś przeciwko, to zostanie superdemokratycznie przekonany, że racji nie ma.

Adam Cebula